

Z tarczą i na tarczy

W Toruniu rozdano puchary, nagrody, wyróżnienia. Wyniki XXV Festiwalu Teatrów Polski Północnej znalazły się na tych łamach zaraz nazajutrz po zamknięciu imprezy. Uczestnicy i obserwatorzy rozjechali się do domów. Jedni wrócili z tarczą, drudzy na tarczy. Takie są prawa konkursu. Pora na spokojną refleksję. Przynajmniej o najważniejszych widowiskach konkursowych i towarzyszących.

Od początku w centrum uwagi znajdował się „Ślub” Gombrowicza. Sztukę zapowiedział renomowany zespół, reżyserował spektakl utalentowany młody człowiek. Twórczość Gombrowicza ciągle jeszcze jest u nas czymś nowym, wyczuwalnie wielkim. Wiemy prawie na pewno, że autor ten dla polskiego teatru znaczyć bę-

dzie tyle, ile Wyspiański czy Witkacy.

Nie ma tylko zgodności, jak należy grać Gombrowicza. Wejście jego dramatów na polskie sceny, to jednocześnie początek poszukiwań właściwej formy wypowiedzi. Ryszard Major wykorzystał z pełną konsekwencją sugestie autora, że „Ślub”, to sen głównego bo-

hatera utworu — Henryka. Obrazom nadawał zmienny rytm, zamierzoną chaotyczność, rwał akcję, inkrustował muzycznymi recytatywami, plastyce używał zamglonej bieli, aktorów bronił przed rodzajowością.

JANUSZ SEGIET

Nad widzami też nie starał się litować. Gdański „Ślub” jest ciężki, nużący, zmuszający publiczność do wysiłku. Bohater, pragnący pełnej wolności i prawdy po

przejęciu okrutnej lekcji, dochodzi do wniosku, że przeszkodą utrudniającą osiągnięcie pułapu wymagań jest sam człowiek, jego natura. Henryk ze „Ślubu”, po iluś tam sprawdzianach teatralnych, może stać się bohaterem na miarę Hamleta, czy Kordiana. W realizacji gdańskiej jeszcze nie zaistniał, nie osiągnął wymiaru symbolu, po prostu aktor nie udźwignął roli. Miał natomiast spektakl inne wybitne, zauważone i nagrodzone role — Jerzego Łapińskiego (Ojciec), Henryka Bisty (Piłak) i Joanny Bogackiej (Matka).

DOKONCZENIE NA STR. 6

Wydarzeniem, głównie repertuarowym, poznamy był niewątpliwie „Ulisses” Joyce’a w reżyserii Wandy Łaskowskiej, realizowany w Teatrze Polskim w Szczecinie, kierowanym przez Andrzeja Rozhina. Nieczęsto trafiają się, takie gratki repertuarowe. Ciekawości więcej przed spektaklem niż dyskusji po przedstawieniu. Zamiar przerasta siły, a cel nie zawsze widoczny, zrozumiały.

Inscenizacja szczecińska jakby przedłuża żywot książki, która w przekładzie Macieja Słomczyńskiego ukazała się przed laty. Wszyscy chcieli tę książkę mieć, mało kto ją czytał. I dziś również nie jest czytana. Przeskoczyliśmy znacznie dalej. Niewątpliwie prekursorskie odkrycia Joyce’a w zakresie prozy powieściowej poznajemy i przyswajamy sobie z drugiej ręki, za pośrednictwem jego naśladowców, epigonów. W teatrze tak zwana awangarda również poszła znacznie dalej. A więc, czy można, trzeba, warto grać „Ulissesa” w teatrze? Tym bardziej, że z góry wiadomo, że nie będzie to cały „Ulisses”, ale jakiś wybór obciążony subiektywizmem realizatorów. Skróty i rezygnacje są niezbędne. W Szczecinie przyjęto zasadę, że główna bohaterka przedstawienia jest Molly. Jej monolog spina wszystkie epizody widowiska. Zamierzano realizatorów obracać się przeważnie wokół spraw ludzkiego ciała: miłości, macierzyństwa, amysowości, pożądania. Znamcy książki z pewnością zaprotestują. Zacierają się najważniejsze kwestie: życia i śmierci, wygnania, obecności. Pozostaje „odyseja ciała”. Tak również traktowano dzieło Joyce’a.

Widowisko szczecińskie, przygotowane z dużą starannością, poszukujące rozwiązań inscenizacyjnych najlepiej oddających charakter literatury Joyce’a, nie może jednak nawiązać pełnego kontaktu z widzami ze względu na ciężar eru-

dyctywny, a ograniczenie uwagi do eksponowanych scen erotycznych z pewnością nie wystarcza.

Warto jeszcze dodać, że główną postacią Molly gra w szczecińskim „Ulissiesie” Janina Bocheńska, aktorka znana ze sceny olsztyńskiej.

Do ostatniego dnia festiwalu czekano na ostatnią, nie dokończoną pracę reżyserską Stanisława Hebanowskiego — „Czekając na Godota” Becketta. Popularny i ceniony powszechnie „Stulek” zmarł w trakcie prób

aż pod horyzontem. Z przodu jedno chudziutkie drzewko. I dwóch marnie odzianych włóczęgów — głównych bohaterów sztuki. Ich pozornie bezzadna gadanina i czekanie na jakiegoś Godota wypełniają widowisko. Tylko na krótko pojawia się druga para: dziwny oprawca i równie niesamowity niewolnik. I jeszcze srebrzysty chłopiec, jakby zwiastun, jakby anioł dobrych wieści.

„Czekając na Godota” interpretowano i inscenizowa-

leżał do outsiderów. Rzadko prezentował dobre przedstawienia, często nie był w ogóle zapraszany. Pod dyktando Zbigniewa Bogdańskiego jakby dźwiga się z nizin. W tym roku zespół przywiózł „Historię o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” Mikołaja z Wilkowiecką. Z pokorą, nie przeceniając swoich możliwości, teatr powtórzył w wszelkimi szczegółami słynną inscenizację Kazimierza Dejmka, w równie słynnej oprawie scenograficznej Andrzeja Stopki.

Niezwykły zabytek piśmiennictwa staropolskiego ożył we współczesnym teatrze dzięki zachowaniu ludowej naiwności w traktowaniu wątku biblijnego, a także dzięki przekazywaniu przez aktorów didaskaliów autorskich, co podkreślało umowność historii i przedstawienia.

Tylko w szczegółach inscenizacyjnych różni się obecna wersja „Historii..” od pierwowzoru. Tamta bardziej eksponowała ludowe, prymitywne wartości widowiska i była po prostu wesoła. Obecna jest poważniejsza, celebrująca, dostojna, jakby obawiano się, aby nie urazić niczyich uczuć religijnych.

Do teatrów powracających z tarczą zaliczyć jeszcze trzeba dwa zespoły występujące poza konkursem. Od kilku lat przyjął się zwyczaj kończenia festiwalu przedstawieniem spoza strefy północnej.

Na jubileusz zaproszono znakomity Teatr Współczesny z Warszawy, który wystąpił z widowiskiem Brechta „Mahagonny”. Rzecz jest prawie u nas nieznaną, grana była tylko raz w operze. Bo jest to w istocie muzyczny moralitet w stylu musicalowym, z pięknymi melodiami i piosenkami Kurta Weilla, zagęszczony obraz wszystkich grzechów cywilizacji wzorca kapitalistycznego: kultu pieniądza, konsumpcyjnego stylu życia, bezkompromisowej walki o pozycję, rozpusty.

W Teatrze Współczesnym, dzięki licznemu, młodemu i bardzo sprawnemu zespołowi,

stworzono znakomicie zrytmizowany, śpiewany i tańczony spektakl. Jak to bywa u Brechta, spod pysznej zabawy, co chwilę wyłaniała się gorzka prawda o świecie, jako wielkim burdelu.

Milim gościem okazała się grupa studentów szkoły teatralnej z Warszawy. Przyszli aktorzy przedstawili umowną, studyjną, seminarijną inscenizację komedii Szekspira „Jak wam się podoba”. Myślę, że tak właśnie należy uczyć zawodu. Nie puszczając od razu na głęboką wodę, w sidiu pełnej, skomplikowanej inscenizacji, ale szukać w dobrej dramaturgii powodów do prób, ćwiczeń, warsztatowych wprawek.

Pozostali uczestnicy festiwalu, jeśli nawet nie znaleźli się na tarczy, to na pewno wyjeżdżali z niedosytem. Teatr z Grudziądza, chociaż zdobył się na dużą wysiłek i solidność na miarę obecnych swoich możliwości, nie został w ogóle zauważony przez jury. Rozgoryczony może być Andrzej Rozhin. Oprócz „Ulissesa” pokazał przecież poza konkursem interesujące „Dwie głowy ptaka” Terleckiego. Teatr olsztyński znalazł się tylko wśród towarzyszących imprez i również nie został zauważony. Podobnie, jak teatr białostocki. Ten jednak spadał przynajmniej z wysokiego konia.

Nie przyznano nagrody dla młodego twórcy Młodzi i zdolni byli tylko studenci i zespół warszawskiego Teatru Współczesnego. Zabrakło kandydata do nagrody za przedstawienie polskiej sztuki współczesnej. Uchyłili się od przyznania swojej nagrody dziennikarze, co mocno zdenerwowało jury. Wreszcie znaleźli się pretekst, żeby ustawić kogoś pod ścianą i odwrócić uwagę od znacznie istotniejszych kłopotów polskiego teatru w ogóle. Każdy pretekst, okazuje się, jest dobry.

Całe szczęście, że festiwalowi toruńskiemu nie już nie może zaszkodzić. Takiej dobrej prasy nie ma żadna impreza artystyczna w kraju.

Z tarczą i i na tarczy

nad przedstawieniem. Inscenizację dokończył Ryszard Major.

Hebanowski został reżyserem teatralnym mając 60 lat. U słońcu życia, z ustabilizowanymi upodobaniami artystycznymi, robił teatr wsłuchany w los człowieka, we wszystkie jego kłopoty, rozterki, tragedie. Becketta cenił szczególnie i w jego literaturze widział dla siebie szansę wypowiedzenia się. „Czekając na Godota” realizował już kiedyś w Gdańsku i było to wydarzenie. W Szczecinie, jak sądzono, chciał powtórzyć z innymi aktorami ten spektakl. Możemy się tego jedynie domyślać. Pokazane w Toruniu przedstawienie jest dziełem dwóch ludzi. Jak opisać to wydarzenie?

Pusta scena. Pochyły podest wypełnia całą przestrzeń. Kończy się w górze

IANUSZ
SEGIET

no w dwojaki sposób, albo z akcentem na beznadziejność oczekiwaniami, albo z akcentem na nadziei, na wierze we wszystko, co człowiecze. „Stulek” był osobowością otwartą, pogodną, szczerą. W sztuce Becketta widział tę drugą możliwość. Dwa włóczęgdy (w szczecińskiej realizacji Zbigniew Mamont i Michał Lekszycki, ten pierwszy również znany ze sceny olsztyńskiej) przy całej beznadziejności sytuacji pokazują nam się jako ludzie pełni wiary w sens czekania.

Teatr Dramatyczny z Gdyni od początku festiwalu na-